

Pisarze i piłkarze

Wypisy stadionowe

„Nogi – podniecał do nowoczesności – nogi, znam was, znam wasze sporty, obyczaj nowego zamerykanizowanego pokolenia, wolicie nogi niż ręce, dla was nogi najważniejsze, łydki! Kultura ducha dla was niczym, tylko łydki. Sporty! Łydki, łydki – pochlebiał mi strasznie – łydki, łydki, łydki!”.

Witold Gombrowicz, *Ferdydurke*, Kraków 1997, s. 106.

Znaczenie, wyobrażenia, pisanie

„Ta książka częściowo usiłuje również zgłębić znaczenie futbolu dla wielu z nas. Stało się dla mnie zupełnie jasne, że oddanie Arsenalowi wiele mówi o moim charakterze czy osobistych przeżyciach, ale sposób w jaki gra jest traktowana przez ludzi zdaje się oferować rozmaite informacje o naszym społeczeństwie i kulturze. (Mam przyjaciół, którzy będą to uważali za pretensjonalne i wyrachowane bzdury, rozpaczliwe usprawiedliwianie się człowieka, przez większość swojego czasu trzęsącego się z zimna. Ten pomysł nie spodoba się im zwłaszcza dlatego, że mam tendencję do przeceniania metaforycznej wartości futbolu i w związku z tym wprowadzam go do rozmów, w których brak dla niego miejsca. Pogodziłem się już z tym, że futbol nie ma nic wspólnego z konfliktem falklandzkim, sprawą Rushdiego, wojną w Zatoce, rodzeniem dzieci, warstwą ozonową, podatkiem pogłównym i te pe i te de, i przy tej okazji chciałbym przeprosić wszystkich, którzy musieli wysłuchiwać moich żałośnie naciąganych analogii”).

Nick Hornby, *Gorączka futbolowa*, przeł. M. Heskó-Kołodzińska, Poznań 2012, s. 9-10.

„W latach sześćdziesiątych XX wieku, kiedy w Turcji nie było jeszcze telewizji, wspólnie z bratem słuchaliśmy transmisji radiowych z meczów piłkarskich. Komentator relacjonował mecz na żywo, przekazując słowami to, co widział, i sprawiając, że wraz z bratem wyobrażaliśmy sobie wydarzenia rozgrywające się na dobrze nam znanym stadionie. Opisywał precyzyjnie pozycję zawodników na boisku, finezję podać

i trajektorię lotu piłki kopniętej w stronę bramki przeciwnika. Ponieważ słuchaliśmy tego sprawozdawcy regularnie i przyzwyczailiśmy się do jego głosu, stylu i ulubionych zwrotów – podobnie jak to się dzieje w przypadku ulubionych pisarzy – bez trudu zamienialiśmy jego słowa w obrazy i czuliśmy się tak, jakbyśmy naprawdę oglądali komentowane przez niego spotkania. Uzależniliśmy się od radia i nawiązaliśmy intymną, zażyłą relację z głosem i językiem dziennikarza, tak że słuchanie relacji radiowej dawało nam niemal tyle samo satysfakcji, ile oglądanie meczu na stadionie. Przyjemność towarzysząca pisaniu i czytaniu powieści przypomina błogie uczucie, jakiego dostarczało nam słuchanie tamtych relacji. Przyzwyczajamy się do niej, pragniemy jej i czerpiemy z niej radość, wchodząc w zażyłe stosunki z narratorem”.

Orhan Pamuk, *Pisarz naiwny i sentymentalny*, przeł. T. Kunz, Kraków 2012, s. 92-93.

„Nie zamierzam sugerować, że kontemplacja futbolu jest sama w sobie niewłaściwym sposobem wykorzystania wyobraźni. David Lacey, najważniejszy korespondent piłkarski «Guardiana», to dobry pisarz i niewątpliwie inteligentny człowiek, a zapewne poświęca grze jeszcze więcej swojego życia wewnętrznego niż ja. Różnica między Laceyem a mną polega na tym, że ja rzadko myślę. Wspominam, fantazjuję, usiłuję wyobrazić sobie wszystkie gole Alana Smitha, wyliczam boiska pierwszej ligi, które odwiedziłem; raz czy dwa, kiedy nie mogłem zasnąć, usiłowałem policzyć wszystkich graczy Arsenalu, których kiedykolwiek widziałem”.

Nick Hornby, *Gorączka futbolowa*, przeł. M. Heskó-Kołodzińska, Poznań 2012, s. 8.

„Po treningu zmęczony Cristino postanowił posilić się zupą w klubowej stołówce. Przysiadł się do pochodzącego z dalekiego kraju dziwnego mężczyzny z wąsem, którego do tej pory widział tylko na ławce rezerwowych, i już zaczynał podejrzewać, że to nie jest człowiek, ale że tak wyprofilowana jest ławka. (...) Człowiek z wąsem zaczął coś mówić, ale Cristino nie słuchał. Nie tylko dlatego, że nie rozumiał jego języka, ale też dlatego, że wpatrywał się w dziwną zupę z kraju wąsacza, która nazywała się rosół i była podawana w stołówce coraz częściej od czasu jego przyjazdu. Spojrzał w talerz i przekonał się na własne oko, że gdy zaczniesz już wciągać nitkę makaronu, nie możesz się cofnąć. Musisz iść do przodu, inaczej się zadławisz. Nie wciągniesz makaronu do tyłu. Podobnie jest w życiu. Gdy podejmiesz decyzję, nie odwracaj się, nie patrz do tyłu, lecz idź przed siebie i żyj zgodnie ze sobą. Czasem chciałbyś czerpać życie pełnymi garściami, ale rosół też nie można czerpać garściami, bo wtedy życie i rosół przeciekają przez palce. Musisz wziąć dobrze wyprofilowaną łyżeczkę, która jest Twoją wolą, i skupić

się na najistotniejszych, najbardziej interesujących Cię fragmentach. W rosoli najczęściej będzie to makaron, makaronem Twojego życia jest miłość. (...) To miał być najważniejszy mecz jego życia. Wielki pojedynek z odwiecznym rywalem. Znaczna część spotkania była już za nimi, a drużynie Cristino się nie wiodło. Właśnie był spychany do linii końcowej, gdy zauważył, że chorągiewka stojąca przy krańcu boiska jest zupełnie jak jego fryzura. Dumna, trwała, wyprostowana, podmuch wiatru nie mógł jej powalić. Tak bardzo skupił się na tym przemyśleniu, że nie zauważył czegoś jeszcze ważniejszego. Że futbolówka jest jak życie. Jest okrągła i bardzo łatwo może wyslizgnąć się z rąk. Ma czarno-białe łaty, bo czasami przychodzą dobre, a czasami złe chwile i choćbyśmy bardzo chcieli, nie jesteśmy w stanie tego zmienić. Nie możemy utrzymać posiadania piłki przez cały mecz, tak samo jak nie jesteśmy w stanie przez cały czas utrzymywać kontroli nad swoim życiem. Życia nie wygrasz sam, musisz polegać na swoich kolegach. Cristino zbyt często o tym zapominał. (...) He he he, podsumowywał mecz w telewizyjnym studiu jeden z ekspertów. Jego uśmiech był zupełnie jak pierwsza miłość – uroczy, szczery, niewinny, pełen emocji. W tym samym czasie Cristino nad brzegiem linii końcowej siadł i płakał. Nie miał pojęcia, jak to się mogło stać. Boisko jest przecież jak życie. Ma wyraźnie zaznaczone linie. Dokładnie wiesz, jak się po nim poruszać, co robić, żeby wygrać, co jest dozwolone, a co nie. Ale na boisku jest jak w miłości. Czasem można zostać zgniecionym przez małego Argentyńczyka, który nie wiadomo dlaczego, okazuje się lepszy. Bo zna tango? Bo zna Maradone? Ty może nie znasz tanga ani Maradony, ale starasz się, przynosisz kwiaty, robisz wycinanki z papieru, piszesz wiersze i śpiewasz piosenki. Takie o życiu i o miłości. A zwinny Argentyńczyk ośmiesza nie tylko ciebie, ale też wszystkich twoich kolegów. Cristino myślał o tym i nie mógł przestać płakać”.

Paulo Coelho Marek Kuprowski, *Na brzegu linii końcowej siadłem i płakałem*, z czuba.pl – inny serwis sportowy.

Być jak Brychczy, Messi, Sobotka...

„Do tej pory próbowałam sprostać oczekiwaniom kolegów, którzy przykazywali, bym spytała Pilcha o piłkę.

A pani ma poczucie wykluczenia, kiedy oni o tej piłce, ja o piłce, no, a niebawem wszyscy będą o niej? Jest na to rada. Śp. Jan Błoński, promotor nigdy przeze mnie nienapisanego doktoratu, na moje utyskiwania, że proza naukowa mi nie wychodzi, wzruszał ramionami i mówił: «Niech się pan tego nauczysz». Więc niech się pani nauczysz albo chociaż postara się wczuć, co to za dzikie, nieporozumienie i z niczym nieporównywalne uniesienie, kiedy ma się 14 lat i z piłką pod pachą idzie się w gronie rówieśników ku miejscu, które

zaraz stanie się Śląskiem a nawet Maracaną. Dzielicie się na drużyny, wybieracie składy, poczynawszy od najlepszego wirtuoza do najgorszego gamonia. I gracie np. na krakowskich Błoniach, które w pogodny dzień były tysiącem boisk. Dziesiątki drużyn z całego miasta grających mecze, w czym kto mógł. W półbutach, bosso, w spodniach od garnituru, w przedwojennych kąpielówkach, w szortach uszytych z alianckich spadochronów. Bez bramkarza, z bramkarzem, czterech na czterech czy siedmiu na siedmiu, poczyniwszy słupki bramek z ubrań, teczek lub patyków...

Kim pan wtedy był?

Ernestem Pohlem z Górnika Zabrze. Wybitny strzelec. Potwornie silne i precyzyjne uderzenie. Niektórzy byli Lucjanem Brychczym z Legii, Puskasem, Garrinchą – fenomenalnym dryblerem, o jednej, jak głosiła legenda, nodze krótszej o kilka centymetrów od drugiej. Nikt z nas nigdy nie śmiał być Pelem”.

Tylko raz klęczałem. Z Jerzym Pilchem rozmawia Dorota Wodecka, „Książki. Magazyn do czytania” 2012, nr 2, s. 14.

„Wszystko rozstrzygnęło się w siedemdziesiątej trzeciej minucie meczu. Boczny obrońca wrzucił piłkę z autu jeszcze na własnej połowie. Messi przyjął ją i położył po ziemi Robinho, precyzyjnie, do nogi. Do Robinho od razu doskoczyło dwóch przeciwników, zatem ten, nie czekając, mocnym przerzutem przeniósł grę na prawe skrzydło, do Ronaldo. Ronaldo rozejrzał się i nie widząc żadnego z partnerów, z piłką u nogi popędził do przodu. Drogę zagroził mu Ronaldo, więc Ronaldo w pełnym biegu wykonał ten efektowny zwód z obrotem na piłce wokół własnej osi, ale nóżki dziwnie mu się przy tym zaplątały, stracił równowagę jakby wpadł we wnyki zastawione na środku boiska i runął na ziemię. Jeszcze zanim przewrócił się do końca, spojrzał na sędziego i rozpaczliwie zawył: «Faaaul!», to samo krzyknął, wyrzucając w bok ręce, jego kolega z ataku, ale arbiter pokazał tylko, żeby grać dalej, więc Ronaldo, ale nie ten, tylko ten, który przejął piłkę, rozpoczął kontratak swojego zespołu. Długim krosem na dobieg uruchomił środkowego napastnika, a ten z dziecinną łatwością wyprzedził obu stoperów i znalazł się w sytuacji sam na sam z bramkarzem, (...) dryblingiem ominął żywą przeszkodę i lekkim pacnięciem skierował piłkę do pustej już bramki, po czym podskakując i wiwatując na własną cześć i wyjąc «Jeeest!», pogalopował aż za bramkę, aby wykonać taniec radości na oczach rozentuzjasmowanego tłumu. (...)

Zatem w siedemdziesiątej trzeciej minucie wszystko się rozstrzygnęło. Drużyna Szkoły Podstawowej nr 28, mająca w swym składzie, sądząc z napisów na koszulkach, trzech Messich, dwóch Walcottów, dwóch Ronaldo oraz po jednym Ronaldinho, Eto'o, Smolarku i Borucu, prowadziła już dwa do zera z reprezentacją Szkoły Podstawowej nr 225 (trzech

Ronaldo, trzech Klosech, dwóch Riberych, Robinho, Messi i Casillas)”.
Jacek Podsiadło, Czerwona kartka dla Sprężyny, Warszawa 2009, s. 5-6.

„Był pan również aktorem? Czy statystą?

W teatrze im. S.K. Neumanna byłem statystą. W Nymburku zagrałem nawet kiedyś główną rolę, ale strasznie słabo. (...) Grałem Don Juana, ale fatalnie wypadłem, po prostu nie byłem sobą, ale być piłkarzem...

Puskasem? Już wiem! Hidegkuti. Drybling na chustce do nosa!

Nie. Chciałem być Jirkiem Sobotką. Jirka to był technik. Albo Gezą Kaloczajem czy Ferdą Fascinkiem albo Horákiem ze Slavii, tym, co strzelał z pięty. Miałem takie długie sny...”

Drybling Hidegkutiego czyli rozmowy z Hrabalem. Rozmawia Laszlo Szigeti, przeł. A. Kaczorowski, Izabelin 2002, s. 148.

Namiętność, narkotyk, miłość

„Możesz dowiedzieć się, czy jest tu jakaś drużyna grająca podobnie do Chicago Bulls?». Mój ojciec, prawie tak samo surowy w tych kwestiach jak ja, powiedział: «Zapytam na recepcji». To, czego dowiedział się od – dawno już zapomnianego – recepcjonisty, zmieniło moje życie, ponieważ parę dni później posłaliśmy oboje sławną drużynę z północnego Londynu, Tottenham Hotspurs, i wtedy już całkiem straciłem głowę. Wciąż było wiele rzeczy, o których nie wiedziałem. Nie wiedziałem, że pomiędzy Tottenhamem, the Spurs (Ostrogami) a Arsenalem, the Gunners (Kanonierami) trwa wieloletnia rywalizacja i głęboka wzajemna nienawiść. (...) Nie wiedziałem, że do tradycji Spursów należy błyskotliwy atak i ekscentrycznie niepewna obrona, oraz że kiedy Arsenal wygwizdywano z powodu jego gry «na nie» (powiadano, że jego kibice pieją na cześć bezbramkowego remisu), to dziurawa obrona Spursów była także regularnie obiektem drwin. (...) Nie pamiętam już, czy Spursi wygrali tamtego dnia, ale przypominam sobie to, że pojąłem, iż zostałem całkowicie odmieniony przez wizytę w tym ponurym północnym regionie miasta, w którym wciąż byłem kimś obcym”.

Salman Rushdie, People's Game, „The New Yorker”, 31.05.1999, s. 57 (przeł. D. Czaja).

„Kibicowanie w piłce nożnej to sprawa bezpośrednia związana ze szczęściem i przypadkiem. Od ciebie, ogólnie rzecz biorąc, niewiele tu zależy. Jeżeli jesteś uczciwy – powinieneś kibicować swoim. I dobrze, jeśli urodziłeś się i dorastałeś w jakiejś Barcelonie. Bo w przeciwnym razie przyjdzie ci przez całe swoje kibicowskie życie nie tyle szczyścić się osiągnięciami

ulubionej drużyny, ile oplakiwać jej marną karmę. Futbolowi bogowie znani są ze swych żartów, więc bardzo często obdarzają nasze miasta nie najlepszymi klubami, którym tak czy inaczej musimy kibicować. Jest oczywiście kategoria kibiców, którzy od początku wybierają sobie na obiekt sympatii jakichś brytyjskich czy włoskich arystokratów i kibicują im z całą swą nieporadnością i małodusznością. Jednak nawet tego rodzaju konformizm nie jest zdolny pozbawić cię poczucia przynależności do kolorów klubowych twojego miasta i – chcesz czy nie chcesz – *genius loci* ciąży nad każdym z nas, niezależnie od tego, których stadionów światła błyszczą na telewizyjnych ekranach”.

Serhij Żadan, Czarne złoto nadziei, przeł. M. Petryk, [w:] Dryblując przez granicę. Polsko-ukraińskie Euro 2012, Wołowiec 2012, s. 202.

„Idąc na decydujący o tytule mistrza Polski mecz Wisła Kraków – Legia Warszawa, nuciłem sobie prastarą *Pieśń o podrzynaniu gardel*. Ciemne i lekkie chmury czerwcowe wisiały nad Krakowem, raz po raz przechodził raptowny deszcz, od czasu do czasu słońce pojedynczym, jakby gnany trwogą snopem trupio białego światła omiatało zamarłą w oczekiwaniu ziemię. Przyroda dawała znać, że wie, co jest grane. Żółtawa aura mordu unosiła się na Błoniach. Sytuacja przed meczem była taka, że Legia, aby zdobyć tytuł, musiała wygrać, gdyby przegrała, zostałaby zabita. Wiśle zwycięstwo nie dawało niczego, ściślej rzecz biorąc: nie dawało niczego poza życiem. Wisła bowiem w razie przegranej zostałaby zabita za sprzedanie meczu”.

Jerzy Pilch, Rozpacz z powodu utraty furmanki, Kraków 1994, s. 97.

„Szaleje kryzys paliwowy. Skaczą ceny do góry jak gorączka tyfusowa. Upadają reżimy i rodzą się nowe. Koło bieguna południowego odnotowano parę tygodni temu temperaturę plus 13,6 stopnia Celsjusza, obok nas przeleciała kometa Kohoutka. Astronauci amerykańscy w Skylabie urosli w kosmosie o 5 cm. Jakiś ojciec dwojga dzieci w Ameryce zmienił płeć i stał się sexy dziewczyną.

Tak, przejmuję się tym, ale umiarkowanie. Przeżywam, lecz raczej w normie. Niech jednak tylko na boisko wybiegnie Legia, żeby pograć z A.C. Milan, niech z szatni wyskoczy Górnik, żeby powalczyć z Dynamem Kijów, już mi w gardle staje serce, już puls rozsada skronie, już straszna ośma spada na mój biedny mózg. I pędzę jak kot za walerianą w straszną otchłań rozkoszy narkotycznej, i lecę głową w dół w cudowną przepaść zapomnienia. Zapomnienia o czym? (...)

Rzeczywiście sport jest dla mnie narkotykiem. Podobnie jak wódka. Tylko bardziej wyczerpuje mi organizm. Sport mnie znieczula, zagłusza, przenosi w jakiś kojący i pełen cudownych emocji wymiar. Sport mnie wyrwa z ćmiącej nieustannym bólem tkanki codziennego życia

i jak kolorowy, abstrakcyjny balon wznosi pod niebo dziwnych, bezinteresownych, kojących wzruszeń. Jeśli nie kibicuję z szowinistycznych pobudek, co mi się zresztą często zdarza, to kibicuję w wolnym świecie prawdziwych znaczeń prawdziwych wydarzeń. Im wyżej mnie uniesie widowisko sportowe w nieskończoność abstrakcji, tym bardziej staję się szczęśliwy i tym dotkliwiej rozbijam się o pospolitość, spadając na ziemię”.

Tadeusz Konwicki, *Kalendarz i klepsydra*, Warszawa 1982, s. 109-110; 106.

„Prawdziwy wyznawca przenosi ceremonię w głąb siebie i przeżywa ją jako konflikt wewnętrzny, odczuwając ruchy drużyn i bezustannie zmieniające się sytuacje w taki sposób, jak odczuwa się fazy zdrowia i choroby – on sam staje się grą, boiskiem i graczami. Zresztą, ta relacja podobno jest zwrotna, jak w jakimś zjednoczeniu mistycznym: piłkarze są tak samo przejęci jak tłumy. Zawodnicy opowiadają o zrywającym się dopingu jak o jakiejś życiodajnej sile ogarniającej boisko, która porywa ich, uskrzydla i ponosi – czasem w męczeństwo. «Wielcy kibice czynią wielkie kluby»: oto jeden z kościelnych dogmatów”.

Robert Coover, *Piłka nożna jako sakrament egzystencjalny*, przeł. A. Sosnowski, „Literatura na świecie” 2001, nr 1.

„On [Tadeusz Różewicz] zajmował się rozgrywkami n a s e r i o. Jak większość naszego narodu, był zawziętym kibicem Górnika Zabrze i uwielbiał Włodka Lubańskiego. Był sędzią surowym, ale sprawiedliwym i żadnego bałaganu na boisku nie pochwalał. Zresztą zdarzało się, że strony boiska stanowiły dla ojca wiedzę tajemną i nieszczęśni Gorgoń, Szarmach lub Oślizło często łajani byli w stylu: «no, co robisz, ośle, gdzie się pchasz?!», «co ten bałwan wyprawia z piłką, jak ją ustawia?!» Szczęśliwie dzielił ich od taty ekran telewizora, bo inaczej niejedyn z naszej piłkarskiej elity byłby uszkodzony. (...) Aż przyszedł czas, który czeka każdego, wzrok arbitra, trenera, kibica zasnuła mgła. Ucichły okrzyki wydawane przez jedynego sprawiedliwego sędziego. Została m i ł o ś ć d o s p o r t u, skrywana skrzętnie – jak każda młodzieńcza miłość”.

Tadeusz Różewicz, *Dwie strony medalu*, wybór i opr. M. Różewicz, wprowadzenie J. Różewicz, Warszawa 2008, s. 5 (spacje oryginalne).

wybór i opracowanie: Dariusz Czaja



EURO 2012, Warszawa. Fot. Justyna Chmielewska.